15. Marca. **Nr. 20.** 1868 roku.

Wychodzi w **niedzielę**, z dodatkiem **muzykaljów, mód, wzorów i krojów.**

Cena:

kwartalnie . . . . 1 złr.
półrocznie . . . . 2 „
rocznie . . . . 4 „

Z dodatkiem:
kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. Za przesyłkę pocztową dolicza się 15 ct. kwartalnie.
Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

pismo tygodniowe

z dodatkiem muzykaljów i mód.

Listy *franco* przysyłać należy:
„Do wydawnictwa „**Nowin**“ we Lwowie w drukarni **Kornela Pillera.**

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa w Administracji „Gazety Narodowej.“

PO MORZU ŚRÓDZIEMNEM.

Obrazy z podróży

przez J. T.

I.

. . . .

Po pięciodniowej jeździe przez morze Czarne, dopływaliśmy cieśniny Konstantynopolitańskiej. Okręt, na którym płynąłem, był trzymasztowym potężnym żaglowcem, nieproporcjonalnie długim w stosunku do szerokości, co mu tem szybszy bieg nadawało, ale robiło go nader chwiejnym przy uderzaniu fali na bok okrętowy. Załoga statku składała się z samych Genueńczyków, począwszy od kapitana, a skończywszy na małym chłopaku do usług, o dziwnie pięknej i sympatycznej twarzy, na której jak w zwierciedle lśnił odblask nieporównanej przyrody Włoch. Mój kapitan, wspólnik amerykańskich wypraw Garibaldego, towarzysz Pisacaniego w 1857 r., umiał mi uprzyjemnić czas szerokiemi opowiadaniami.

Głęboki wielbiciel słynnego bohatera Włoch, naganiał wielce ówczesny rząd włoski, i nie szczędził dlań dobitnie łających wyrazów, których sporą ilość posiada najmelodyjniejszy język w Europie. Nieprzyjaźń jego dla ludzi stojących wówczas u steru rządu we Włoszech, szła w parze z nienawiścią dla Francuzów, którzy wstępują zwykle do Włoch w charakterze oswobodzicieli, a powracając, ścielą sobie drogę z tyłu przekleństwami wyzwolonych przez się mieszkańców. Nazywał ich: *une nation de blagueurs,* a Napoleona III. uważał za tak dobrego ciemiężyciela Włoch, jakimi niegdyś byli Burboni. Przekonałem się potem, że ta niechęć, nienawiść prawie dla Francuzów, jest charakterystyczną cechą plemienia włoskiego, i da się trochę usprawiedliwić niedbałem obchodzeniem się zaalpejskich oswobodzicieli z narodem, który wszystkie inne, i to po części słusznie, ma za barbarzyńców, odczuwa zatem głęboko wszelką wyrządzoną mu obelgę, tem głębiej, że nie zawsze poczuwa się na siłach do jej skarcenia.

Mój Signor Giuseppe należał do najdzielniejszej warstwy ludzi we Włoszech, to jest był z powołania marynarzem. Okręt był mu kołyską, a morze piastunką. Takie wychowanie robi człowieka istotą czynną, energiczną, oswojoną z niebezpieczeństwy, więc odważną. Robi go także istotą myślącą, bo długie dnie, często spędzane na morzu, w szczupłem gronie towarzyszy-majtków, w osamotnieniu od reszty świata, co utonął za widnokręgiem, zmuszają do zagłębiania się w sobie, do rozbierania przeszłości, do zastanawiania się nad przyszłością. Da się to przedewszystkiem zastosować do marynarzy na statkach żaglowych, gdzie kilku, najwięcej kilkunastu ludzi stanowi całą rodzinę okrętową, gdzie niebezpieczeństwa są większe i walka z przyrodą straszniejsza.

W rozmowach z moim kapitanem dowiedziałem się dużo ciekawych szczegółów z życia Garibaldego, kilka nawet tajników, które prędzej zasługują na miano podejrzenia, niźli twierdzenia. Pod koniec powstania polskiego w 1863 roku, Garibaldi okazał chęć osobistego udania się na plac boju. Obiecano mu tajemne zasiłki od rządu. Już dzień wyjazdu był naznaczony, kiedy przybywa list z Londynu, który wyświeca Garibaldemu jego stanowisko, jako kozła ofiarnego w tej wyprawie. Miało chodzić przedewszystkiem rządowi francuzkiemu o pozbycie się bohatera, który był dlań często nader dokuczliwym, to jest o wysłanie go dla bronienia całkiem gasnącej sprawy, o narażenie na niechybną zgubę. Powtarzam, słuszniej to nazwać można podejrzeniem, niźli przypuszczeniem. Co do podejrzliwości, to jest ona także charakterystyczną cechą plemienia włoskiego, i objawia się często w sposób bardzo dziwaczny.

Tego rodzaju rozmową zabawiał mię kapitan przy obiedzie w obszernej kajucie jadalnej, mającej może 10, lub 12 łokci kwadratowych. Trzymając się obyczajów swojego kraju, jadano na okręcie dwa razy na dzień: o dwunastej śniadanie, o szóstej wieczorem obiad. Byliśmy już ku końcowi obiadu, i mały Ganimed na ostatnie danie postawił przed nami talerz pełen rodzynków i migdałów, do których przystąpiłem z całem oddaniem się po czczych jarzynach włoskich, a mój gospodarz dolewał mnie i sobie wina, kiedy w małych drzwiczkach kajuty stanęła wielka postać naszego sternika, który dość obojętnie, z bardzo niewielką przymieszką zakłopotania, oznajmił kapitanowi o zbliżaniu się burzy. Widziałem wyraz niezadowolenia na twarzy kapitana, kiedy odebrał tę wiadomość, i nie omieszkałem zapytać go zaraz: czy burza nie przeszkodzi stanąć nam dzisiaj w Bosforze?

— Właśnie to mię gniewa — odpowiedział tonem niezadowolenia, — że nie mamy prawa wjeżdżać do Bosforu już o zmroku. Gdybyśmy się nie zastosowali do tego niedorzecznego prawa, obie części świata, które się tu stykają, przywitałyby nas salwą kartaczową, i zaprosiły do swobodnego rozłożenia się na dnie morskiem. Wyobraź pan sobie, każą czekać ludziom przez całą noc na morzu, na którem burza szaleje, i niedaleko od brzegów, na które wylądować nie zdołają, ale o które rozbić się mogą w każdej chwili!

Natychmiast wyszliśmy na pokład. Ujrzałem chmurę ciągnącą od wschodu, ale o rozmiarach tak szczupłych, żem zaczął wątpić, ażeby była zdolną przynieść nam burzę. Pragnienia moje wówczas dzieliły się na dwoje: już od dni pięciu chciałem się spotkać z widokiem burzy, i bez tej katastrofy uważałem podróż morską za niepełną, za nie-

dokończoną. Nie chciałem jej jednak tak dalece otaczać urokiem niebezpieczeństwa, ażeby mi się mogła uśmiechać myśl rozbicia się o brzegi. Byłem więc dość zadowolony z tego, że zapowiedziana burza nie jest tak straszną, jak ją w słowach kapitana ujrzałem; byłem jednak zarazem i trochę nie rad, że może cała groza burzy skończy się na szeleście nawalnego deszczu.

Zwołani majtkowie stanęli przy linach, na których umocowane są żagle. Kapitan wyszedł na podniesienie, to jest plat-formę, którą tworzy dach kajut połączonych. Była jeszcze zwyczajna cichość morska, czyli monotonja morskiego szmeru, przerywana tylko coraz to namiętniejszem dąsaniem się fali, pluskającej o bok okrętu; ale chmura szła dziwnie szybko i wiatr się wzmagał, bijąc konwulsyjnie o białe płótna żagli. Majtkowie stali w najgłębszem milczeniu przy linach, a kapitan z założonemi na piersi rękoma, z trochę podniesioną głową wywołał we mnie uczucie zachwytu. Taki był spokój na jego twarzy, tyle było pewności i dumy w piękne formy obleczonej w jego postawie całej i postaci górującej nad pokładem, że wydał mi się posągiem przedstawiającym zapaśnika, który przyjmuje wyzwanie od swego najstraszniejszego wroga.

Już morze ryczeć zaczęło, i czułem, że burza w największym zapędzie zbliża się do nas, i tuż ma uderzyć na nas z całą wściekłością, kiedy kapitan milczał jeszcze i patrzał spokojnie przed siebie, jakby się lubował grożącem natarciem żywiołów i potęgą swojego słowa, w ustach zawartego, a które miało być hasłem do odparcia i obrony. Nareszcie krzyknął: »Puścić liny!« i głos ten przez majtków powtórzony rozniósł się echem po pokładzie. W mgnieniu oka puszczono liny, i dotąd natężone płótna zerwały się w górę, jak wielkie motyle białe i chciały uleciéć, ale znów opadły i znów się podniosły, targane, szamotane, kąsane prawie od wiatru.

W tej samej prawie chwili, kiedy puszczono płótna i okręt nasz pozbywszy się parcia u góry, zwalniał biegu i spokojniej chwiał się na falach, w tej samej prawie chwili dopływały nas potężne bałwany już wzburzonego morza; pierwszy naczelny bałwan uderzył w bok okrętu z siłą olbrzyma, i ryknął jakby rzucając hasło śpieszącym za nim szeregom. Okręt pochylił się znacznie w przeciwną stronę tak, że musiałem chwycić się masztu, ażeby nie paść na pokład; lecz natychmiast nastąpiło pochylenie w stronę przeciwległą pierwszej, i rozpoczęła się kołysanka morska.

Ten ryk pierwszego bałwanu, to uderzenie olbrzyma wstrząsło mną całym i przejęło dziwną roskoszą, która jest tem dziwniejszą, że nie była pozbawioną świadomości niebezpieczeństwa, że była pomięszana z pewną obawą, która ostatecznie rospływała się i nikła na tle panującego uczucia zachwytu. Widnokrąg morza spiętrzony falami, trzask masztów, szarpanie płócien od wiatru, zapadanie i podnoszenie się okrętu stosownie do tego jak fala wspinała się, lub kładła; nareszcie postać kapitana na wzniesieniu z odkrytą głową, z odwagą na twarzy, z rozkazem w ustach — wszystko to wprawiło mię w wir zachwytu, i gdybym był lepszym trochę gimnastykiem, możebym się był puścił na drabiny masztowe dla zwijania żaglów.

Bo oto właśnie kapitan zawołał: »Zwijać żagle« i kilku majtków śpiesznie rzuciło się na drabiny. Żagli jest zwykle kilka piąter, trzy, cztery piątra, czasami więcej na większych okrętach. Ku niższym żaglom, do zwijania których potrzeba mniej zwinności, a więcej siły zwrócili się starsi majtkowie. Na sam szczyt, już nie po drabinie, ale po linach masztowych pięło się dwóch malców, z szybkością kota drapiącego się na drzewo. Podziwiałem ich zręczność, zwinność, lotność prawie; ale podziw mój przeszedł wkrótce w zdumienie, a następnie w przerażenie, kiedym ujrzał ich na szczycie masztu, przewieszonych przez-pół na poprzecznym drągu żaglowym, i za całe oparcie pod nogami mających tylko pojedyńczą ruchomą linę... Pochyleni nad przepaścią, zwijali małe górne żagle, które wiatr nie puszczał, albo im z rąk wyrywał, a tymczasem okręt odbywał szaloną huśtawkę, i szczyt jego masztu za każdem pochyleniem się w tę lub ową stronę opisywał ogromne koło w powietrzu. Istotnie wówczas byłem przerażony niepomału widokiem tych dwojga chłopiąt, odbywających taką wahadłową podróż nad morską przepaścią; zdawało mi się, że ptak nawet nie mógł w tej chwili usiąść bezkarnie na szczycie rozhojdanego masztu. Odwróciłem więc mimowolnie wzrok od nich, i spojrzałem ukradkiem na twarze innych majtków, chcąc spotkać na nich choć ślad tej obawy o życie chłopiąt, jaka mnie wtedy opanowała.

Ale na tych twarzach tkwiła nienaruszona spokojność, połączona z całkowitem zwróceniem uwagi na szczególną pracę każdego. Zawstydziłem się swojej obawy i troskliwości, i znowu wzrok podniosłem w górę. To, co przed chwilą wywarło przerażenie, teraz mię tylko zachwycało. Cyrkowe linoskoki ze swemi *salti mortali* budzą we mnie wstręt lub poziewanie, ale taka gimnastyka w walce z żywiołami, gdzie areną jest ocean, oklaskiem ryk bałwanów, a nagrodą poczucie własnej dzielności — taka gimnastyka sprawiała mi niewymowną roskosz, i dlatego, pozbywszy się już próżnej obawy o ich życie, nie mogłem od nich oderwać wzroku.

Burza przeszła dość szybko; ale morze, jak pierś gniewem wstrząśnięta, kołysało się jeszcze potężnie, podnosząc nasz okręt na szczyty fal, i rzucając go potem w ich rozdoły. — Rzuciłem okiem po widokręgu, który już zaczął się zmierzchem przesuwać, i dopiero wtedy spostrzegłem, że miniona chmura była tylko przednią strażą całej armji chmur wysuwających się na wschodzie. Będziemy mieli noc djabelską! — rzekł mi kapitan. — Gdybyśmy byli na pełnem morzu, ani bym dbał o to, ale tu w pobliżu brzegów taki taniec nocny jest dość przykrym. — Więc cóż zrobimy? — zapytałem już zadowolony widokiem przeszłej burzy, i nie zupełnie rad z perspektywy djabelskiej nocy. — Musimy się cofać i trzymać się, co najdalej od lądu; jutro będziemy się starali być co najbliżej niego.

Wkrótce głęboka noc zapadła, i ryk morza w tej nieprzebitej ciemności stał się daleko przeraźliwszym. Wiatr znów się podniósł, i rospoczęła się burza na ten sam temat, co poprzedzająca ją uwertura, tylko na większą skalę i przy potężniejszej dekoracji, jaką była noc nieprzejrzana. Od brzegów Europy świeciły nam czerwone ogniki latarni morskich, jak dobre duszyczki ostrzegające o bliskości niebezpieczeństwa. Za podniesieniem się fali ogniki tonęły, potem znów wypływały i zamigotawszy żałośnie, znowu się chowały.

Mój kapitan wydawszy stosowne roskazy udał się do swojej kajuty, i zabrał się do jakiegoś pisania, które nie wiem jak długo potrwało. Ja zostałem jeszcze czas jakiś na pokładzie, chcąc się oswoić i zapoznać bliżej z otaczającym nas nieprzyjacielem. Burza morska w dzień biały przedstawia widok wspaniały i groźny, ale światło dzienne pozwala jeszcze przynajmniej oku panować nad rozhukanym żywiołem. W nocy człowiek rzucony na rozwichrzone fale, pozbawiony jest ostatniej władzy oka, i wydaje mu się, iż jest zanurzony w przepaść ciemną bez wyjścia, w paszczę wściekłego i szamocącego się olbrzyma. Wszystko się już razem sprzysięga wtedy na zgubę wątłej istoty ludzkiej: i wichru pęd szalony, i ocean rozbujały i noc nieprzebita. Człowiek ogląda się w koło, szukając jakiegoś punktu oparcia; lecz gdzie tylko się zwróci staje przed nim czarna ściana nocy, mówiąc: poddaj się, jesteś jeńcem nocy i żywiołów!... a wicher szyderczo szepce mu do ucha: bądź spokojny, zaprowadzę cię prędzej do brzegów, niżbyś pragnął! — a ocean, jak tłum miljonowego ludu woła złowrogo i nieustannie o twoją głowę... Wtedy to człowiek nie znajdując nigdzie punktu oparcia zewnątrz siebie, wchodzi do wnętrza swojego, jak żołnierz za szaniec ostatni, ostatnią broń nabija, broń poczucia własnej godności, i uspokojony zwycięża myślą to, czego ręką i wzrokiem zwyciężyć nie może.

Coś podobnego i ja przechodziłem, i znużony nareszcie niemem traktowaniem z żywiołami, usunąłem się do przeznaczonej dla mnie kajuty, i położyłem się w zamiarze uśnięcia. Ale mimo znużenia nie łatwo mi było zasnąć. Dopiero kiedym głowę przytulił do poduszki i zamknął oczy, dopiero wtedy dzika muzyka morska owładnęła mną zupełnie. Była to dziwna orkiestra, której kapelmistrzem musiał być chyba sam Neptun z trójzębem. Na tle morskiego warczenia i ryku, wiatr wygrywał na masztach i linach swoje najdziksze melodje, i przebiegając pod okienkami mojej kajuty rzucał mi najszaleńszy rozdźwięk do ucha. Czasami pompy odezwały się żałobnie i wyraźniej mi zarysowały walkę ludzi z żywiołem, wyraźniej przedstawiły mi całą bezsilność ludzką w obec takiego wroga. Przez okienka kajuty czerwona lampa okrętowa, na tyle umieszczona, ciskała mi swoje krwawe promyki i złowrogo odbijała od czarnej nocy.

O czem ja wtedy myślałem słuchając tej muzyki djabelskiej... przez jakie przechodziłem wrażenia? — da się to z trudnością ściągnąć do wyrazów prostych i spokojnych. Są wrażenia na świecie, które dla się słów odpowiednich nie mają jeszcze, i Bóg wie, czy będą miały. Człowiek jest także instrumentem, i przegrywa na nim wszystko, co go otacza. Gamma dźwięków czy wrażeń tego instrumentu jest nieskończoną, i nie ma wszystkich odpowiednich znaków muzycznych; dla tego jest wielka trudność odwzorować niektóre minione wrażenia. Ja byłem wówczas właśnie takim instrumentem, na którym burza morska przegrywała w najdzikszych akordach. Powstawała z tego powodu jakaś dziwaczna muzyka w mej głowie, nierozgmatwany chaos wrażeń. Leżałem tak bezsenny i bezwładny przez parę godzin, aż nakoniec monotonja chaosu znużyła mię — i zasnąłem. (C. d. n.)

IMPROWIZACJA

KAROLA SZAJNOCHY.

Do Feliksa Lipińskiego. *)

Oto pod stopy twojej złotostrunnej
Lutni, ten płowy rzucam rym w ofierze:
Niezgrabne głoski na płowym papierze,
Na martwej skale poszczerbione runy.
Uboga sztuka, co szermuje słowem!
Dźwięki natchnienia, w piersi nam zawarte
Pismem na białą przeniesione kartę —
To liście róży, na krzewie majowym
Bezduszną ręką botanika zdarte,
I wysuszone, zsortowane w zielnik —
Jak rym nasz — martwy barw i woń popielnik...
Szczęśliwa sztuka, co przemawia tonem!
Ton jako płomień ku niebu wystrzela!
Tony gdy chórem smutku lub wesela
Ponad słuchaczy rozlecą się gromem,
To jakby rannem przeniknął ich słońcem —
Opasał onem łączącem półkołem,
Co według bajki, przechodzące polem,
Porywa dzieci jednem wstęgi końcem,
By tam na niebie promienisty próg im
Rajskich roskoszy rozwarłszy przelotem,
Niebem je olśnić — i w zmienionej potem
Postaci na dół, zmierzyć końcem drugim...
Tak też pisanych natchnień kwiat zpłowiały
Dopiero wonczas w nowej doskonałej
Na roskosz światu jawi się postaci,
Gdy się z promienną sztuką tonów zbraci,
Gdy one suche zielnikowe liście
Zorza harmonji rozwoni ogniście
Płomieniem dźwięków, wonią kwiecia w parze,
Spłoną ofiarne umnictwa ołtarze
W rymie tonu, i tajny duch głoski
Zleje się w półdźwięk wszechharmonji boskiej.

POŻEGNANIE

w Gastein r. 1860.

Błogie hasło: do dom, do dom!
O! zazdroszczę lotu chmurom.
Pożegnanie obcym wodom,
Obcym lasom, obcym górom!

O, nie żal mi czarodziejskiej
Mnogokształtnej okolicy,
Ni doliny podalpejskiej,
Tysiącbarwnej krasawicy.

I nie żal mi skał granitów,
Ni szumiących z gór potoków,
Ni okrytych śniegiem szczytów,
Opasanych w strzęp obłoków.

Ni huczącej w ciągłym grzmocie
Wodospadu pjany srebrnej...
Jak po cichym ptaka locie
Nie zna śladu szlak podniebny —

Tak i po tych mi obrazkach
Nie zostanie w duszy śladu,
Prysną w życiu mgłach, lub blaskach,
Jak ta pjana wodospadu.

---

*) Niedrukowany ten wiersz ś. p. Szajnochy, przysłany nam został przez WP. Salomeę Lipińską, za co niniejszem dzięki Jej składamy. Red.

Jedno tylko z tylu wrażeń
Głębszy w duszy ślad wyciśnie,
Pośród przeszłych nieraz marzeń
Złotą jeszcze smugą błyśnie.

Pierwsze polskie zwieje rano
Z myśli obce okolice —
W polskiej duszy pozostaną
Ukraińskie dwie dziewice.

Pół wesołe, a pół rzewne,
Na anielskich zwiane piórach,
Jak znajome jam, lub krewne,
Córy stepu witał w górach.

Tylko żal mi, że tak krótkie
Chwile błogie, że gdy śpiewa
Najpiękniejszą los mi zwrotkę,
Ledwie zacznie, już urywa.

Już urywa... Żegnam Panie!
Może jeszcze raz na świecie
Bóg szczęśliwe da spotkanie...
Pamiętajcie o poecie!

Adam Pajgert.

SZERMIERZE.

I což to za ród jest, szermierze ci nowi,
Co chcą mieć zbawienie we złocie?
Podobni czasami przykremu są snowi,
A czasem i — ludzkiej istocie.

I cóż to za ludzie ci bladzi, aż biali,
Co w prawdzie chcą widzieć zbawienie?
Ich oczy podobne do słońca, co pali,
Do ciszy przed burzą — milczenie.

Milczący! rozwiążcie swe usta bez zmazy,
A myślą podniosłą dostojni,
Z ust waszych, jak piorun ciskajcie wyrazy,
A bądźcie jak pan Bóg spokojni.

Bo což to za potwór ci nowi szermierze,
Co ducha chcą zważyć na szali?
I łokciem go zmierzyć i trzymać w tej mierze,
By życia za prawdę nie dali?

A zwykle pytają: ktoś taki? ktoć rodzi?
Masz urząd, masz handel, masz krocie?
Czyś tylko zabłądził w tej świata powodzi,
By nam tu coś prawić o cnocie?!...

Nie! rzekniesz — jam żaden ni handlarz, ni książę,
Dusz waszych jam lepszą jest częścią,
Jam m i ł o ś ć — kochajcie! lub pęta rozwiążę,
I zgniotę poprostu was — pięścią.

Ho! kiedy jak granit, tak losy uparte
Przed ducha się wolą rozpękły,
To pójdą w proch serca i czoła wytarte,
Co dotąd przed prawdą nie klękły!

O! kiedy jak niebo, tak duszę tchnął czystą,
Tchnął Pan Bóg w pierwiastek bez ducha,
To pewnie i miłość wlał także ognistą,
By glina nie była tak krucha.

I spoił miłością gliniane te urny,
Co zowią się piersią i sercem,
A miłość podwyższył przez ducha koturny.
Bo ziemia ta cała kobiercem...

Łąkami zasłana i kwiatem barwiona,
Ta ziemia nie wyda wam woni,
Gdy miłość na piersiach bezdusznych wam skona,
Gdy kłamstwem — nie prawdą, pierś dzwoni.

Więc z drogi! co jasność kryjecie po skrzyniach,
Dla których ta jasność we złocie;
Pan ś w i a t ł o umieścił w krwią wrzących naczyniach,
Wlał w serca bijące ku cnocie.

Teofil Szumski.

Czary.

Opowiadanie Marka Wowczka.

I.

Dawno już temu, dawno, a niby wczoraj się działo. Wiadomo — młode lata! co czujesz, albo widzisz za młodu, to ci ono przywiduje się do ostatka.

Stara babula bywało rozpowiada nam dziewczętom, przędząc wełnę, a my — ni-to duszą każde słowo pojmujemy: jak to kiedyś bywało na świecie, jakie to kiedyś tworzyły się dziwa.

Żył sobie stary kozak Zadorożko z żoną (bywało rozpowiada babusia). Dał im Bóg wychować sobie syna jak sokoła. Takiż to kozak wyrósł z niego piękny! Co do konia, co do zbroi, co do zwyczajów, niby, rycerskich!... A toż i w domu szczerą była dla wszystkich jego dusza! Ojca i matkę szanował i poważał — powiedzieć słowem.

Starzy cieszą się i radują swoją dzieciną, i dziękują Bogu.

Dożył swego wieku stary Zadorożko, powołał go Bóg do siebie.

Pobłogosławił on syna i żonę, nakazał nie martwić się, pochować go pięknie, taj spoczął na wieki.

— Dość już płakać, mamo — wmawia Tymosz starą matkę — to wy Boga gniewacie.

— Dziecino moja! jakże mi łzy powstrzymać, kiedy same z ócz płyną? Przeżyłam z nim wiek mój wesoły, młody, cicho i mile, i otoż przyszło osierocieć na stare me lata! Gdzie nie spojrzę: po chacie, czy w sadku, czy na podwórzu — zawsze go wspomnę.

— Czas mi już, mamo, do roboty — bywało powie Tymosz. — Pójdę, ta i was podprowadzę do sąsiady Hanny. Co tu sami macie się pobijać!

— Ta dobrze-ż, dobrze, mój sokole jasny! chodźmy do Hanny, synu!

A Hanna była, jak i ona wdową; miała córkę jedynaczkę; zwano ją Chymą...

Ładna była dziewczyna, jak pełny kwiatek, jasnooka. Wyrosła Chyma razem z Tymoszem, niby siostra z bratem; razem bawili się, razem i smutek przyjmowali, zawsze społem, wciąż milutko pomiędzy sobą, ta tak i wyrośli, szczerze się kochając.

Bywało gdy jeden dzień nie obaczy Tymosz dziewczyny, to już mu trudno; a ona dziewicze oczęta wypłacze, wyglądając swego czarnobrywego parobka.

Starzy to widzieli.

— Niechaj — mówią — kochają się młodzi; może ich Bóg i razem sprowadzi; będziemy swatami.

A czy tam mało było parobków, co chodzili za Chymą, jak oczarowani? Byle stąpiła za wrota, tu się i zrodzą; ale dumna dziewczyna minie ich, i okiem na żadnego nie rzuci. U niej na myśli tylko czarnobrywy Tymosz! jego wygląda rano i wieczorem. Nie ma go — weźmie dziewczynę żal; obaczyła — to wesoło jej, i miło, i na świecie żyć dobrze!

II.

Stara babusia, bywało rozpowiada nam o tych ludziach, jakby ich miała przed oczyma; a sama mówi, że się to działo dawnemi czasy. Otoż i hutorzy, przędząc wełnę:

Bez licha, powiadają, w świecie nie bywa; nie minęła i Chymę zła godzina.

Nie ma Tymosza wieczór, nie ma i drugi i trzeci.

Nie śpi Chyma, chodzi po sadeczku, chodzi, depcze pachnące kwiatki, które sama sadziła i podlewała; wszystko jej za nic, bo wielka tęsknota i smutek przyszły do jej szczerego, wiernego serca.

Poczyna świtać.

Idzie Tymosz ulicą, wesół; idzie prosto do swej chaty. Wybiegła ona, zatrzymuje.

— Przemów, miły, choć słóweczko do mnie! I wczoraj i pozawczoraj ciebie nie było. Jeśli mię zapominasz — powiedz szczerą prawdę?

— Oj dziewczyno, dziewczyno — powiada Tymosz — jakeś ty mię zasmuciła! Muszę-ć opowieścić twoją złą godzinę: nie być nam w parze!

— Nie być! Alboż ty sobie drugą znalazłeś dziewczynę, piękniejszą odemnie? Czy kocha cię ona, jak ja szczerze?... Powiedz mi: czyja ona? przez nią mój młody wiek przepada, niechże choć obaczę, jaka ona?

— Nie gniewaj się na nią Chymo! to pokorna i dobra dusza. Ona-ż i sierota.

— To Ołena Bondarówna! Ona?... A więc to do niej ty chodzisz co wieczór?... Ja oczy swoje wypłakałam, świat mi nie miły, a ty się z nią pieścisz, oboje szczęśliwi, jedno obok drugiego... Biada mi! licho moje niespodziewane!... A cóż ty, może myślisz ją wziąć za siebie?

— W niedzielę będę już słać swaty.

— Czegoż się tak pośpieszasz? Może nie wszystko będzie szczęśliwe...

— Bodaj byś ty nie doczekała takie mi proroczyć, niedobra dziewczyno!

— Słuchaj Tymoszu! porzuć ją, rozłącznicę! porzuć, gdy nie chcesz żałować po wieki! Będzie pokuta, ale powrócenia nie będzie!

— Żebym ją porzucił?... Próżno tylko twoje słowa giną! Nie zdradzę ja mojej dziewczyny póki życia, póki słońca blasku!

— Nie porzucisz? Rozmyśl się dobrze Tymoszu, i powiedz ostatecznie: nie chcesz porzucić?

— Niech mi się oczy gorącym zasypią piaskiem, jeśli porzucę.

— Obaczymy! — I poskoczyła do chaty.

— Wraże dziewczę! — przemówił Tymosz, i ciężko się zadumał.

Na myśl mu przyszła Ołena, co piękną była jak jasne zorze, a pokorna i cicha, niby siwa gołąbka! Wspomniał on na nią, i aż wykrzyknął:

— Niech mię świat nie zna, jeśli cię zdradzę, moja gołąbko!

III.

I postanowił w pierwszą niedzielę słać swaty.

Rano począł radzić się matki.

— Mamo! — powiada — pokochałem dziewczynę, chcę ją wziąć za siebie; błogosławcie mię.

— Ta niechże cię *Hospod'* błogosławi, synu! Ożeń się, mój sokole! A kogo będziesz swatać? Chymę?

— Nie, mamo! Ołenę Bondarównę.

— Ołenę? A ja wciąż spodziewałam się, że ty weźmiesz Chymę. Ładna dziewczyna, i mnie szanuje. Ta już nie ma o czem mówić: skoroś Ołenę spodobał, bierz Ołenę, a mnie każda synowa będzie miłą, byle ciebie kochała, mój synu.

Posłali swatów, pobrali ręczniki, zaręczyli młodych.

Dowiedziała się o tem stara Hanna, taj mówi do córki:

— Zapewne tobie, doniu, nie sądziło się być w parze z Tymoszem! A ja byłam pewną, że tej jesieni was połączę.

— A co jest w świecie pewnego? matko! — odpowiedziała ponuro Chyma.

— Nie smuć się, doniu! znajdzie się dla ciebie jeszcze piękniejszy! Tyż u mnie, Bogu chwała, młoda i ładna jak jagoda!

Wieczorem idzie Tymosz do swojej dziewczyny; wesoło mu i swobodnie, i świat mu się wdzięczy... Kiedy nie rzuci okiem, a przed nim, jak mara, stoi Chyma, blada, chmurna, i pyta:

— Porzucisz, czy nie?

Opamiętał się parobek, i powiada:

— Bóg z tobą, niebaczna dziewczyno! Czyliż nie wiesz — jam się już zaręczył?

— Nie porzucisz? pytam!

— Lepiej mi umrzeć, jak bez niej wiekować.

— To ostatnie?

— Ostatnie — nie porzucę! (D. n.)

NIEPOPRAWNI.

Dramat w pięciu aktach, przez Juljusza Słowackiego.

Przedstawiony na scenie lwowskiej dnia 8. marca b. r.

Jeżeli Słowacki jest Szekspirem polskim, to cała potęga jego genjuszu widnieje w *Niepoprawnych*. Tu już nie ma naśladownictwa, ale oryginalność zdumiewająca swoją innością od tego wszystkiego, co znamy z utworów scenicznych; tu nie ma psychicznych nieprawd, ale wierność w cieniowaniu uczuć posunięta do szczegółów, które tylko genjusz dostrzedz, genjusz tylko objąć, upostaciować zdoła... Dramat cały tak jest nastrojony podniośle, tak nawiązane w nim struny brzmią zgodnie trącone ręką mistrza, że albo zachwyt wywoła, albo stanie się niezrozumiałym dla tych, którym nie stać ducha, dla towarzyszenia poecie w wędrówkach po jego głębi. Dramat Słowackiego, o którym mówimy, miarą swą przerósł to wszystko, co-

kolwiek ma scena polska, i kto wie: czyli nie jest owem rozgraniczeniem starej szkoły dramatu od nowej, nieznanej nam, a potężnej!... W *Niepoprawnych* tyle jest siły, taki czar niepojęty... że pomimo, iż dramat zszedłszy z utartej, przez gęste zarośla toruje sobie nową drogę, pomimo, że na każdym kroku spotykamy tę jego inność, tę niezwykłość — budzi on w nas zajęcie najżywsze, zapanowuje nad nami, i ma niewolników, aż do chwili, kiedy ostatnie słowo mistrza przebrzmi w duszy słuchaczów – smętnych, pomimo zadawalającego rozwiązania dramatu. *Niepoprawni* rzecz to: ogólnie ludzka, bo motywa występujące w sztuce ważą w świecie; zna je przeszłość, i przyszłość znać może... a swojskim jest, naszym tak dalece, że się w nim jak w źwierciadle przejrzeć możemy. Wierny to obraz życia, na które patrzyliśmy, na które patrzymy jeszcze...

Nic bardziej fałszywego nad zarzut, że *Niepoprawni* — to płód rozgorączkowanej fantazji autora; że sama rzecz i osoby działające w dramacie są pozbawione naturalności, nie mają prawdy w sobie!... — Niemasz tu ani jednej postaci, której bicia pulsu nie bylibyśmy w stanie policzyć! ani jednej, któraby inaczej postępowałaby w życiu, aniżeli jak wypowiedział autor! ani jednej, któraby władaniu innych uczuć oddała serce, aniżeli tym jakim poddał go Słowacki!...

Fantazy, Idalja — postacie „z mgły i brzasku“ ale jakże przytem wiernie oddane, jak szczerze nasze!... Oderwani od rodzimego pnia, upojeni czarem nieswojskości, która nam wyjada mózgi... jak dwa te duchy, w życie zklęte siłą genjuszu, wirujemy w szalonym zamęcie, niezdolni pojąć samych siebie... nieużyteczni innym, sobie nieznośni, przykrzymy istnieniem, nie mając dość siły, by z uśmiechem wejść do przybytków, kędy ginie pamięć i wspomnienie... Czy w tej parze błędnych istot nie widzimy znacznej części naszego społeczeństwa, owych ćwierć-duchów, ćwierć-ludzi, których połowa zginęła gdzieś bez śladu!... W ich twarzach wybladłych i przeżytych, czy wielu nie przejrzy się, jak w swojem odbiciu? Czy widząc owe szamotanie się zdrowego ducha narodu w ich zchorzałej piersi, który wielkim głosem woła: „życia! czynu!“ wielu z pomiędzy nas nie odjęknie zgodnie z tą parą, dręczoną nie tyle z winy własnej, co tych, którzy zda się prędzej odjęli im życie, aniżeli dać zdołali?...

Rzecznicki, ów służka polaka z przewróconą głową i sercem wymiętem; mimo swego dygnitarstwa w powiecie, zawsze „jak pies“ towarzyszący swemu kapryśnemu panu; ów nędzarz duchowy, który z uśmiechniętą twarzą, psią pełni powinność, a przecież szle gromy w siebie i swoją hańbę, i daje dowód, że iskra człowieczeństwa jeszcze w nim nie zagasła — to postać tak wiernie wzięta z życia, obraz tak dokładny, że mimowoli ulegasz złudzeniu: chce ci się go dotknąć, posłuchać jak tam bije serce... Postać to niestety! smutna, bo znowu wielu bardzo z pomiędzy nas obaczy w niej wierne swe odbicie. Owych przyjaciół panów, co to grają rolę lokaja zarazem i pajaca, i po szczeblu ich wziętości wspinają się na drabiny społeczne — Rzecznickich dość jest u nas! Wielkie szczęście jeszcze, że mają pioruny na hańbę!...

Hrabia ze swą żoną — figury równie nijakie w życiu, jak i w dramacie, i takim będące cieniem wpośród nas, jak wśród osób, które ich otaczają... posieleńcy sybirscy polacy — a niewahający się sprzedać własną córkę, jedynie z obawy, by nie przyszło im z „harfą chodzić po Kijowie...“ Czy dwie te postacie potrzebują komentarzów? Nie są-ż one doskonałem odbiciem tej części naszego społeczeństwa, którą prąd wypadków porywa, może nawet zanieść na Syberję; ale nic im nie da cichej domowej cnoty, poczciwości rodzimej, którą zawczasu odjęło im wychowanie spaczone, a raczej brak wychowania, jakie winno odznaczać człowieka-polaka!

Djana — ta jak zaklęty dźwięk harfy, staje wśród obcego jej świata. Zaledwieś ją ujrzał, nie przemówiła jeszcze, a czujesz, że zeszła świętość; duch twój upada w pokorze przed tą dziewicą czystą, która patrzy na ojca i matki aktorstwo, a w duszy widzi mogiły i krzyże, zapatrzona jak posąg bolu i słuchania... Ona, której posagiem całem jest jej ciało, a w niem nawet paznokć rubinem, zdobytym gdzieś przez przodków na Wezyrze... głośno wołająca o krzyż! i gotowa być towarem półmilionowej wartości, byle sobą wykupić lud wioski, klęczący u jej nóg z błaganiem: „Ratuj! Oto za należność twych rodziców panów, nam włości, sprzedadzą pługi, i zginiemy w nędzy!...“ Patrząc na tę postać, czyliż z czcią nie możemy powiedzieć sobie: to anioł nasz! to jedna istota, która wymodli u niebios przebaczenie winy ojców — to polska dziewica! którą tu Słowacki otoczył większą aureolą chwały, aniżeli wszystkie koron blaski wkładane na jej czoło przez innych poetów naszych. Zestawmy postacie dziewicy-polki, jak ją nam przedstawiają poeci — któraż z nich będzie świętszą, a bardziej codzienną od tej dziewczyny „wybielonej wiatrem na Sybirze?...“

Jan — „szlachcic, za rewolucją w proste zesłane sałdaty.“ O tym nikt nie powie, że jest postacią wymarzoną!

Major — czerkies, dzieckiem porwany z rodzinnego aułu i zmoskwicony; liberał — a gaszący lont, „gdy przyszło wypalić do cara!“ „przepuszczający okręta pod nogi“ — sprzedajny, a w duszy zakochany w polakach: narodzie męczenników i bohaterów; sromotną przebaczający urazę, śmierć przyjmujący dobrowolną, by szczęście zapewnić ukochanym — to postać tak piękna, tak prostotą odbijająca od naszego skoszlawienia, że musisz rumienić się przed umierającym za tych, którzy go otaczają! i gdyby nie biała para dwóch czystych duchów: Jana i Djany, i ta mała Stelka — w proch by nam upaść, bijąc się w piersi ze skruchą, że już i na takiego majora nie stać nas więcej!...

Genjusz tak potężny, jak Słowacki nie daje się mierzyć zwykłym łokciem oklepanych formułek; do ocenienia jego dzieła jakiem są *Niepoprawni* przystępować należy nie ze skalpelem zimnych rozumowań, nie z świętokradzkim uśmiechem lekceważenia na ustach; ale z odczuciem całej potęgi świętości ognia, który tlał w piersiach mistrza, i siłą genjuszu zaklęty pozostał w dziele, by rozgrzewał stygnące nasze serca...

Niepoprawni wymagają znajomości naszego społeczeństwa nie po wierzchu, ale z gruntu — nie z ciała tylko, lecz i z ducha. Chcesz utwor ten pojąć i ocenić jak zasługuje, zejdź z powierzchni, i udaj się za poetą do przepaścistych głębin ducha, dosięgnij trzew, i niemi zatargaj! Czyniąc inaczej — muśniesz tylko po wód lazurze; głąb' się nie poruszy, a za chwilę zniknie ślad twego dotknięcia!... *Niepoprawni* — to my! nie ukrywajmy tego przed sobą... Genjusz nie na to dał nam wierny obraz nas samych, byśmy oczy odwróciwszy, wołali: gorączka! marzenie!... lecz, ażebyśmy ujrzawszy nagość ducha, dostrzegłszy jego sromotę, uderzyli się w piersi ze skruchą i długą przyjęli pracę poprawy!... Gdy świeci słońce — możemy oczy

zamknąć, a przecież nocy nie będzie!... możemy wołać na postacie, które nam przedstawia poeta, że to są mary! — one zawsze wyciągną do nas rękę, i twarzą zwróconą ku nam przyświadczą: W a m i j e s t e ś m y! Owem słońcem nagiej prawdy są *Niepoprawni* Słowackiego!... postacie tego dramatu — owemi marami z naszej krwi i kości! Idalje, Dafniccy — to niemal połowa naszego społeczeństwa! Są to ptaki rodzimego gniazda, które zapomniały drogi powrotu: krążą błędne w przestworzu z żałośnym jękiem, aż sił pozbawione padną gdzieś, by zginąć w zapomnieniu. Połowy naszych Idalij może nie starczy na słowa, któremi mówi do Fantazego: „Żyj dla ojczyzny!...“ a także sama liczba Fantazych odwoła się do cudu dla wejścia na wskazaną drogę, i tak skończą nijako — może nawet odjazdem do Rzymu — jak Fantazy, w dramacie!

Więcej nam Janów! więcej dziewic jak Djana! a może zasłużymy na to, że przyszły wieszcz da nam *Poprawnych*, gdy się poprawimy w istocie!

Już z tego co powiedziano, widzimy, jak powierzchownym jest sąd tych, którzy odmawiają *Niepoprawnym* warunków scenicznych; tych, którzy utrzymują, że dramat traci na przedstawieniu... Gdzie tak potężne występują czynniki, jak w *Niepoprawnych*, gdzie od pierwszego słowa widz jest oczyniony mocą genjuszu, który gra na strunach uczuć, i wydobywa z nich nieznane dotąd akordy — takiemu dramatowi nie może zbywać na warunkach potrzebnych do utrzymania się na scenie. Ze Słowackim rzecz się tak ma, jak z Bethowenem, Mozartem i innymi mistrzami harmonji — na razie zginiesz w tej powodzi piękna, nie znajdziesz siebie wśród zachwytu; ale wsłuchaj się trzeźwiej, częściej kąp ducha w owym cudzie — co krok nowe obaczysz światy, co chwila w inne, wyższe ulecisz nieba, aż oczarowany, kres zachwytu znajdziesz chyba u podnóża tronu Boga!...

Częściej dawajcie nam Słowackiego! co tydzień *Niepoprawnych!* Czarodziejska siła, spoczywająca w jego nieśmiertelnych dziełach, prędko cud w nas sprawi, prędko przerodzimy się na duchu — że ze wstrętem odwrócimy oczy i serca od mętów powszedniości, coraz to goręciej pożądając p r a w d z i w e g o p i ę k n a!

Jakże wdzięczni bylibyśmy dyrekcji, gdyby przedstawienie *Niepoprawnych* było godnem dzieła, godnem pamięci wielkiego poety! — Mogło to być, a nie było... Widocznie nie zbywało na dobrych chęciach, ale jaskrawiej jeszcze wystąpiło niedbalstwo.

Parę rzeczy weźmiemy dla przykładu.

Autor w dziele mówi: Djana — „ta w c z e r n i dziewczyna“ — panna Bieńkowska występuje w b i e l i... Hrabina, w ciągu aktu mówi do Stelli: „ubierz się biało“ — a panna P o p i e l ó w n a od początku jest już tak ubraną... Hrabina odpowiada na słowa Fantazego, że widzi Idalję — pani N o w a k o w s k a, zamiast być ukrytą za krzakiem w stronie, gdzie są zwrócone oczy mówiącej, znika za kulisą ze strony przeciwnej... Fantazy zamiast mówić do Djany — mówi do Idalji. Stłuczona filiżanka, jak zaklęta, pozostaje na podłodze do końca sztuki... Kałmuk, statyści formalnie błądzą po scenie, nie wiedząc co począć ze sobą!... Są to usterki małe, ale nie bez znaczenia, a bardzo źle świadczą one o kierownikach sceny. Gdzie porządnie odbywają się próby, tam nic takiego miejsca mieć nie może.

Nędznie (bo odpowiedniejszego wyrazu nie umiemy znaleźć) odegrał rolę Fantazego p. W i l k o s z e w s k i. Nie żądamy od artysty, by rolę oddał należycie, jeśli ta nie przypada do jego talentu; ale mamy prawo wymagać, by ją zrozumiał, by wiedział: kogo przedstawia?... Pan Wilkoszewski zaś tak dalece był nijakim, że gdyby wypadło wydać sąd o nim z tej jednej roli — musielibyśmy go zaliczyć do rzędu aktorów, którzy niemając p o j ę c i a r z e c z y, do artyzmu nigdy wznieść się nie zdołają. Fantazy — to nie skwaszona lalka salonowa, jakim go przedstawił p. W. nie kaznodzieja wreszcie, jakim był w scenie ostatniej, odegranej z całą nieudolnością; ale człowiek, ale duch! którego artysta tak ma studjować, jak najtrudniejsze charaktery w innych dramatach. Fantazy — to nie fraszki, które zbyć można skrzywieniem ust i ruchem ręki; z taką rolą trzeba się liczyć, i bardzo!

Pani N o w a k o w s k a wiernie oddała charakter Idalji; jej też tylko zawdzięczamy, że grą swoją zatarła przykre wrażenie, jakie sprawiał widok Fantazego.

J a n (p. Szymański) mógł być lepszym, a już w każdym razie nie tak dobitnie wymawiać owo czterokrotne: b**i**dny — b**i**dny — b**i**dny — b**i**dny! Rzecz smutna, że polszczyzna naszych artystów tak jest chwiejną, tak mało pouczającą!... Piosnka, którą śpiewa J a n — to piosnka jego tęsknoty, rozpaczy — piosnka to wygnańca-polaka... dla czegoż ją pan Szymański śpiewał na nutę moskiewską?...

Pan K r ó l i k o w s k i w roli Majora był dobrym; a mógłby być lepszym, gdyby się ucharakteryzował stosowniej, trochę lepiej umiał rolę, i pamiętał o tem, że przestrzelonemu kulą, trudno s t o j ą c mówić pół godziny...

Panna B i e ń k o w s k a (Djana) wyrecytowała swą rolę, jak uczeń zadaną mu lekcję, co jej tem bardziej mamy za złe, że ma zdolności deklamatorskie. Słowacki chce mieć Djanę posągiem poważnym i cichym, a panna B. zdawała się z wielką ciekawością przysłuchiwać obojętnym dla niej rozmowom współgrających, i przez cały czas pobytu na scenie zawsze była zwróconą w stronę lewej kulisy... Aktor powinien unikać jednostajności pozycji, bo ona wpada w oczy widza, i ze szkodą grającego, nudzi go i nuży.

Pan B a r a n o w s k i, jako Rzecznicki, bardzo dobrze wywiązał się ze swojej roli. Raziły niekiedy zbyteczne krzywienia się i niepotrzebne wykrzykniki, w chwilach gry niemej.

Aktor śmiejący się na scenie, i w dramacie tak podniosłym, jak *Niepoprawni*, daje świadectwo swej niedojrzałości artystycznej. Tyle powiedzieć mamy pani L i n k o w s k i e j.

Omyłka druku spowodowała niezrozumienie rzeczy. Umierający Major chce, by mu przyniesiono szkatułkę z papierami, woła więc: „Kałmuk! szkatuła!“ nie „szatuła.“

A poco też było autora: „Duchowi memu dała w p y s k...“ zmieniać na: „Duchowi memu dała w t w a r z...“ Ten puryzm śmiesznie odbija od całego szeregu utworów Offenbacha i t. d.

P. Stachurski.

Rozmaitości.

*** Opuściły prasę: W i e r s z e M i e c z y s ł a w a M o k ł o w s k i e g o, nakładem autora. Druk K. Pillera.**

*** 4. b. m. umarł w Warszawie J ó z e f S i m m l e r, jeden ze zdolniejszych malarzów polskich. Z prac zmarłego znanym jest obraz, przedstawiający „Śmierć Barbary.“ Na zeszłorocznej Wystawie paryskiej podziwiali znawcy portret kobiety, pędzla Simmlera.**

* P. Józef Kolarz, profesor języków słowiańskich na pragskiej politechnice, mianowany został lektorem języka polskiego na uniwersytecie w Pradze, i w przyszłym półroczu rozpocznie kurs wykładów.

* *Paweł Forestière,* nowa komedja Augire'a ma być przedstawioną 14. b. m. na czeskim teatrze w Pradze.

* O ile się da wnieść z pism czeskich, *Halka* Moniuski nie doznała w Pradze zasłużonego przyjęcia. Trudna rada! gdzie oklaskami przyjmują *Żiźń za caria,* tam przedstawienie polskiej *Halki* jest zbytecznem.

* Moskale zamierzają wydawać w Warszawie pismo p. t. „Sielskij architektor,“ którego zadaniem będzie: wmówić w lud polski, że teraźniejsze jego chaty i budowle gospodarskie są barbarzyńskie, i że powinien wzór ich brać od — moskalów! a więc jak cywilizatorowe Europy mieszkać z bydłem pospołu... Bodaj to cywilizacja moskiewska!

* Trzeci wieczór Towarzystwa muzycznego 9. b. m. rozpoczął kwartet Bethowena Es-dur. Całość wykonania wypadła dobrze, jakkolwiek w wielu miejscach dawał się dostrzedz brak w zachowaniu charakterystycznej cechy tego utworu, przez nazbyt miękkie, jakby oględne odbijanie rytmów. Prawdziwem pojęciem w wykonaniu dzieła klasycznego odznaczył się p. Czoprony artysta, wojskowy; którego gra miękka, jako też pełny i czysty ton jaki wydobywał z altówki, zjednały mu pochwałę znawców.

Pani Majeranowska, ze zwykłem powodzeniem, odśpiewała „Świteziankę“ Moniuszki i „Mazurek“ Grossmana.

O deklamacji przemilczamy.

W nr. 4. p. Zahl odegrał milutkie solo na wiolonczeli. Akompanjament zdawał się nam zbyt silnym.

Na zakończenie, odegrał p. Mikuli trzy sola, ze zwykłą mu doskonałością w wykonywaniu utworów Chopina. Etiudę jednak Gis mol słyszeliśmy przed kilku laty, wykonaną przez tegoż artystę z nierównie większą szybkością i dokładnością.

* Drugi numer „Śmieszka“ rokuje temu pisemku świetną przyszłość. Dawno już nie spotkaliśmy się z tak żywym, tryskającym — choć prawda: kolącym dowcipem. W skład redakcji „Smieszka“ wchodzą najzdolniejsi humoryści polscy w Galicji. Drzeworyty nie ustępują w niczem zagranicznym. — Ha! śmiejmy się... Na smutek dobre to leki!

* W sobotę d. 7. marca, w rocznicę śmierci ukraińskiego poety Tarasa Szewczenki odprawiono nabożeństwo za jego duszę. Tegoż dnia, w lokalnościach kasyna ruskiego, odbył się, za staraniem młodzieży, deklamacyjno-muzykalny wieczorek. Zebranie otrzymało kilka telegraficznych pozdrowień z różnych stron kraju.

* Na dniu 19. lutego umarła autorka „Hermina Glińska.“ Polka z urodzenia, poświęciła się Glińska w Wiedniu, dokąd przed kikoma laty z rodziną swoją przybyła, literaturze niemieckiej. Z wielkiem zamiłowaniem pracowała w dziedzinie literatury, a prócz tego układała wiersze do własnych kompozycyj muzykalnych. Odrębnemu jej talentowi, przypisać należy, że się nie odważyła na ogłoszenie znaczniejszego dzieła; wolała raczej występować przedewszystkiem z mniejszemi pracami w czasopismach wiedeńskich. Próby te świetnie wypadły, a romanse „Hrabia Godziemba“ (w Gazecie Austrjackiej) i „Wera“ (w Slawische Blätter), które oba traktują przedmioty z ostatniego powstania polskiego, znalazły wszędzie najzaszczytniejsze uznanie. Glińska była stałą współpracowniczką pierwszego dziennika, do którego pisała fejletony, powieści, listy z podróży i t. d. We wszystkich pracach zmarłej przebija bystry umysł, wysokie wykształcenie, szlachetne pojmowanie rzeczy i wiele uczucia; romanse jej nie miały na sobie piętna zwykłej belletrystyki; przemawiała w nich wzniosła moralność i przywiązanie do tego, co szlachetne i piękne.

* Ameryka wsławiona z odkryć i wynalazków zbogaciła znów wiedzę ludzką. Jeden Amerykanin, wybrawszy się na połów wielorybów, dotarł aż do 73° 30′ północnej szerokości, i odkrył nieznany kraj, zamieszkały, śniegiem nie pokryty, z bujną wegetacją roślinną, który nazwał „ziemią Wrangla.“ Wiedeńskie towarzystwo geografów miało dowieść, że w roku 1764 moskal Andrejew odkrył był już ten kraj, który ma być lądem stałym, i leży między Grenlandją a północną Syberją.

* Donoszą z Neapolu następujące ciekawe szczegóły o ostatnich wybuchach Wezuwjusza: „Zdaje się, iż straszna nocna zmora ciąży od dni kilku na piersiach uroczej Partenopy: ognista szata, którą się osłonił czarny Wezuwjusz, powoli, ale nie powstrzymanie coraz niżej spływa, garnąc w swoje prześliczne purpurowe fałdy, winnice i domy odbieżane przez mieszkańców, które na wieki znikają pod tym miękkim złoto-różanym całunem. Już jeden rąbek płomiennego aksamitu dosięga neapolitańskich przedmieści Resina i Torre del Graco; zbliżanie się nieuniknionego i najgorętszego na ziemi uścisku tych wyciągniętych ramion lawy przejmuje śmiertelnem zimnem tameczne ludności, które, nie dbając o przeszłość i przyszłość, wierzą tylko w nikłą obecną chwilę, i tonąc umysłem i sercem w lazurowej fali i w pomarańczowych powiewach, potrzebują, aby je żarzysta ręka klęski budziła za każdą razą ze wszechstronnego na łonie czarodziejki ukołysania. Potworny ryk otchłani bluźniącej niebu z głębokości piekieł i ciskającej olbrzymią garścią skały i piekielną sadzę, by zbrudzić niepokalaność italskich błękitów, wstrząsa opodal ziemią, którą wszędzie ogarnia drzenie, nieład, obłąkanie; od tej wewnętrznej gorączki pagórki pękają jak spiekłe usta chorego, a fala morska cofa się od brzegu, jak pełna czara od tych ust spragnionych. Około czarodziejskiego Sorrento część góry się zerwała i padła na dolinę; w Neapolu zaś samym od tego marszczenia się skóry ryczącego lwa kawał pionowej wyżyny zwanej Pizzafalcone, sterczącej nad Castel dell'Ovo, nad pałacem Chiatamone i nad wybrzeżem Santa Lucia, oddzielił się od szczytu, usunął się i z okropnym hukiem zleciał na gmachy nad brzegiem zatoki położone. Spadające urwisko zgniotło kilka domów, pogrzebało żywcem ich mieszkańców, a nawet przechodniów idących w tej chwili dolną ulicą, tudzież parę powozów i omnibus z hotelu delle Crocelle, które tamtędy przejeżdżały. W omnibusie tym znajdowała się rodzina lombardzka, złożona z pięciu osób: podróżnicy zwiedzający Neapol przez ciekawość, spokojni, szczęśliwi, weseli, a których grób odrazu pochłonął. Inna cudzoziemska rodzina mieszkała w pałacyku, wznoszącym się pod samą górą, a który najpierwszy z tamecznych budowli uległ klęscc. Państwo ci mieli chore dziecko, które zostawili w łóżku, pod dozorem sług. Wracając ku wieczorowi do domu spostrzegli, że drzwi do ich mieszkania prowadzące tak się mocno zamknęły skutkiem lekkiego pochylenia się ściany, iż potrzeba je było wyłamywać. Tknięci tą złowieszczą wróżbą, jakkolwiek nic jeszcze nie zwiastowało niebezpieczeństwa, porwali dziecko na pół nagie i wynieśli je czemprędzej z domu, nie odziawszy go nawet. Było to istotnie opatrzne przeczucie, albowiem w kilka minut później góra, która już się usuwać poczynała i ciężarem swoim pochyliła mury domu, runęła na wybrzeże. Radość rodziców, którzy cudownym jakimś instynktem wynieśli się byli z mieszkania jak Lot z Sodomy, wyrazić się i opisać nie da. Straszliwy ten przypadek miał miejsce w godzinę po zachodzie słońca. Wnet wojsko z kwestorem miasta na czele zbiegło się i wzięło rączo do rozkopywania ogromnej mogiły z gruzów, ziemi i skał, co na szerokiej ulicy w oka mgnieniu urosła, wchodząc jak wysoki przylądek w samo łono morza. Młody książę Aosty, syn króla włoskiego, z motyką w ręku pracował jak prosty robotnik. Żałobna to była i okropna wśród ciemności robota, oświecona z jednej strony pogrzebowym blaskiem tysiąca pochodni, z drugiej krwawą łuną gorejącego Wezuwjusza. Sądzą, że przeszło 60 osób pod tą zaspą zginęło. Dotąd kilkanaście tylko ciał znaleziono, ale starte na miazgę. Kilka tysięcy żołnierzy pracuje z niewymowną gorliwością około odgrzebania trupów i kosztownych sprzętów zniszczonych mieszkań.

Korespondencja Redakcji.

Księgarnia Luksemburgska w Paryżu. „Nowiny“ posyłać będziemy.

WP. Wern... w Paryżu. Pańską korespondencję nawet pismo polityczne nie mogło by umieścić; cóż dopiero „Nowiny!...“

WP. Gu... Fi... w Krakowie. Prosimy o inne próby. Autor z trudnością ocenia własne utwory. Proza może być przydatną — korespondencja pożądaną.

Dodatek: Tablica wzorów.

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller.

Druk Kornela Pillera.